

i to będącej satyryczną groteską — stanowczo za poważne. Idąc po linii twórców muzyki i libreta, należało i z dekoracji wydobyć humor i satyrę. Nie było to wszak niemożliwością. A na co ten przykry kolor jasnej czekolady w architekturze greckiej?

Nie harmonizował z tłem tych plastycznych dekoracji, płaski, utrzymany w krzykliwym tonie parowiec, na którym przyjeżdża Parys, oraz banalnie futurystyczne morze.

Kostjumi nie miały jednolitej linii kompozycji — i dlaczego takie wszystko podkaszane? Raziły też przy greckich tunikach kabaretowe trykoty. Za to doskonale wyglądały, po malarzku ujęte włóczkowe peruki.

Mimo widocznych usiłowań operowania tłumem jako wartością plastyczną, na scenie panował pewien chaos. Reżyserja scen zbiorowych nie wyzyskała całego następczącego się pola do popisu. Orkiestra za to brzmiała wybornie, wydobywając z partytury wiele gubionych dotąd piękności. Chwilami ona tylko przypominała o paryskim pochodzeniu operetki.

Tekst uległ nie zawsze szczęśliwym przeróbkom nprz. w szaradzie konkursowej, zbyt- nio długiej i zawilej. Za bardzo naszpikowany jest dowcipami, które na scenie koniecznie muszą być sceniczne, inaczej nużą i rozbijają akcję. Sądźmy, że pewne skróty byłyby bardzo pożądane.

Sala nowego teatru jest największą w Warszawie. Daje to możność dyrekcji stosowania niższych cen, niż w innych teatrach, a pozyskanie dawnych ulubieńców publiczności z gwiazda operetki p. Messal na czele zdaje się rokować pełnię powodzenia.

I. J. Rembicki.

KSIAŻKI.

G. F. STOUT. *Zarys psychologii*. Z ang. przełożył Dr. Sz. Znamierowski. Warsz. 1921 r., Trzaska, Ewert i Michalski.

Ostatnimi czasy upowszechniła się, zwłaszcza w Ameryce, tzw. metoda eksperymentalna w psychologii — i u nas też istnieje laboratorium doświadczalne tego rodzaju przy towarzystwie psychologicznym. Nie wszyscy jednak uważają tę metodę za prowadzącą do celu, ile że doświadczenia te drobniagowe i poszczególnie — raczej rozpraszają uwagę ucznia, niż ją koncentrują. Podręcznik Stouta, który świeżo wyszedł, nie opiera się na tej metodzie, choć o niej pobieżnie wspomina. Jest to raczej wykład dydaktyczny i syntetyczny, rozważa on przedewszystkiem życie intelektualne, a w dalszym ciągu życie uczuciowe i zjawiska woli. Książka Stouta daje przykłady introspekcji i wdraża do niej ucznia, uczy chwytania płynne i nieuchwytnie momenty przeżyć, podkreśla rolę kontekstu psychicznego i dyspozycji. Jest to nie tylko dzieło psychologa, ale zarazem i filozofa, który nie poprzestaje na metrycznym badaniu przeżyć, lecz stara się wejść w ich wewnętrzną strukturę. Interesuje się przytem temi sprawami psychicznymi, które mają znaczenie specjalne dla filozofii i gnozeologii.

EUGENIUSZ MALCZEWSKI. *Koń na wędrownym*. — Warsz. 1921. Gebethner i Wolff.

Autor nowy, który poraz pierwszy występuje ze zbiorem nowel — i, śmiało rzecz można, występuje od razu gotowy i skończony. Jakże są w nim możliwości rozwoju, o tem nie podobna dziś nie powiedzieć: to jednak co nam dzisiaj E. M. podaje — może być bez przesady uznane za rzeczy pierwszorzędne. — Autor był w wojsku — i przeżył wszelkie wrażenia życia krwawej tragedji, przez którą przechodziła Europa. Rzeczywistość twarda i brutalna, przenikniona jednak zjawą dalekiej wchodzącej zorzy nowego jutra — stała się dla E. M. kanwą jego opowieści. Skutkiem zbiegu okoliczności autor znalazł się na Murmanie, w tamtejszej armji, składającej się z różnych narodów. Wzerał mu się w duszę ostre, gwałtowne a niezapomniane wrażenia, w których łączył się najokropniejszy tragizm zdarzeń wojennych z szubieniczo-farbowym humorem ludzi, którzy każdej chwili mogli być na śmierć skazani. Taki też charakter prawdy realnej życiowej mają opowiadania Malczewskiego, a zwłaszcza *Blokhaus pod Syreną*, *Młody miś na dalekim cmentarzu*, *Tam gdzie ostatnia ścieżka szubienicy*, *Koń na wędrownym*. Inne, jak: *Wielka bitwa narodów* mają charakter wesołej anegdoty, a jeden z najlepszych utworów *Dzieje Baski Murmańskiej* — to melancholijna historia żywota i śmierci młodej niedźwiedzicy, którą E. M. przywiozł sobie z Murmanu, a którą chłopci w lesie Kampinowskim zabili widłami. Jest to jedno z najlepszych opowiadań, godne pióra Rudjarda Kiplinga. Mniej szczęśliwe wydają mi się te fragmenty, gdzie autor wpada w ton publicysty, do czego zdaje się nie mieć kwalifikacji: mimo ustępów tu i owdzie szczęśliwych — nie są zgodne z epickim duchem autora takie dydaktyczne wykłady, jakie daje nam *Powiatka o makagowie*, *Państwo ponurej anegdoty*, *Cor cordium Polonii*. Niech autor będzie tem, czem jest — poetą zjawisk życiowych, nie zaś moralizatorem, choćby w najlepszych intencjach.

Pierwszy ten występ młodego autora wróży o nim jaknajświeńlej. Czekamy i mamy prawo się spodziewać po nim jakiejś większej pracy o charakterze powieściowym. O ile, przeszedłszy z atmosfery wojennej — autor „w cywilu” się nie załamie: to może się narodziła w nowym pokoleniu ta *rara avis* — utalentowany pisarz nowych czasów.

ADAM BRZEG.

Zwierciadło kobiety.

Powieść.

V.

Podniósł oczy i długo spoglądał na ściane naprzeciw, gdzie w górze, w skromnym passepourt tkwił portet, zdjęcie fotograficzne młodej kobiety.

Smutneml oczyma wpatrywał się w te jasne, roześmiane, dziewczęce oczy, okolone złocistymi lokami włosów.

— Ira... Nieszczęśliwe, biedne, dziecko — myślał z sercem ściśniętym dławiającym, drętym bólem...

— Stworzona byłaś do szczęścia i uśmiechów chwil jasnych, niebo dało ci urodę ciała i piękno subtelnej, bogato wyposażonej duszy, miałaś serce kryształowe jasne i dobroci pełne, miałaś oczy niewinne zdziwionego dziecka, które spogląda na barwny, szalony kalejdoskop życia, szeroko rozwartemi zrenicami...

— Byłaś na łanie życia, jak rzadki, pyszny kwiat tęczący się przepychem barw w słońcu letnim, upalnym, w skwarne, miodem pachnące lipcowe południe...

— I przyszedł żniwiarz ścieżką przydrożną, ujrzał cudowny kwiat na łanie ziół i zerwał go dłonią szorstką.

— W zaciszu klatki twego małżeńskiego więzienia byłaś jak młoda orlica, schwytała w samotrzask na turniach niedostępnych, bijąca skrzydłami rannymi o stalowe prety klatki. Zakryto ci czarną płachtą codziennych, szarych obowiązków życia słońce na szczytach skał. Przykuto stalową obrozą do małżeńskiego kielatu. Byłaś jak subtelny kwiat ciepłamlany wychuchany w ciepłe sztucznej, słonecznej atmosfery oranżerii, oddechający wonnem, ogrzanem piecami powietrzem, w którym żyją południowe oliwki i cyprysy, i afrykańskie palmy i kaktusy, a oto dłoń bezwzględna zaniosła cię do zimnej, wilgotnej piwnicy, pełnej gadów, wyziewów, ciemnicy.

— I kwiat szczęścia, ręka twarda, bezwzględna, szorstka niezrozumieniem ukrytych, otchłannych zakamarków twojej duszy, odzierała poczęła z wolna, z wolna z liści ziół. Opadały ci skrzydła zranione i w głuchej ciszy swej klatki więziennej, ty ptaku słoneczny, żyłaś w cieniach ponurej, ciemnej nocy...

— Targała się w duszy twojej rozpacz, obiana gorzkimi łzami życiowych nieporozumień. Wplątana w sieć pajęczą codziennych wydarzeń życia, padałaś bierną ofiarą męskiego cynizmu, gruboskórności, dziwactwa. Byłaś skazana na beznadziejny dramat, który przeżywa barwny motyl, co wpadł w jedwabiste kolory zdradzieckiej pajęczyny, i łopocząc osłabłymi skrzydłami, czuje, jak mu z piersi pajak ssie poczyną krew serdeczną, życie...

— Pajak... Tu Szeliga zaintrygował się głęboko. W tem bolesnem rozpamiętywaniu życia drogią, tak bardzo niegdyś ukochanej Iry, doszedł nagle do jakiegoś oślepiająco jasnego punktu w rozumowaniach.

— Pajak... Gruby, ohydny, egoistyczny pajak, niszczący życie słonecznej, jasnej, do szczęścia stworzonej kobiety. Stał się swą wysoką postacią na drodze jej życia i zasłonił jej słońce sobą na zawsze.

Dał jej Humaniecki dwoje dzieci. Prawda! Ale potem przyszły lata szare tem więziennem życiem kazamat małżeńskich, których on umiał, ni osłonecznić nie umiał, czy nie mógł. Nie rozumiał jej duszy, był jej obcym zupełnie, był naturą za zdrową, za nieskomplikowaną wobec tej subtelnej, przewrażliwej duszy kobiecej.

Ale swym egoizmem twardego, mocnego mężczyzny zamknął na poczwórne łańcuchy klatkę jej więzienia. Sam będąc gburowatym, milczącym typem człowieka zaciętego i nieustępliwego, po nieporozumieniach ukrytych między nimi, zaciął się w roli twardego, milczącego oprawcy, czekającego z knutem w dłoni na czającego się w celi skazańca.

Zamknął jej drogę do szczęścia, własnem ciałem położył się na poprzek drzw i warował złośliwie, okrutnie, by nie zdołał uciec ptak błękitny.

— Dobit schorzałego, zmęczonego „ptaka”, czy wolał patrzeć jak więzień o kratę celi rozbil sobie sam skrwawioną głowę, by skończyć raz z życiem bez nadziei i bez perspektywy?

Był sprawcą czynnym, czy biernym zbrodni? To obojętne — dochodził do ostatecznej konkluzji w swych przesłankach Szeliga. On,

Humaniecki, swoją bezwzględną, dziwaczną trochę naturą, wprowadził trwały dysonans w życie obojga, unieszczęśliwił Iry, tę cudną kobietę stworzoną do radości i uśmiechów życia, tego rajskego, słonecznego ptaka wpędził w marną życiową bez wyjścia, skomplikował dramat rodzinny do zenitu, i wreszcie stworzył tę atmosferę, w której zrodził się straszliwy, potworny owoc zbrodni...

Stoi Szelidze w oczach pomarszczona, łzami zalana twarz starej piastunki Iry — Ignacowej, która bezżebnymi wargami szepce swoje groźne oskarżenie:

— Moja kochana pani była taka nieszczęśliwa...

Bo rzeczywiście trzeba było być dziwnie twardym, bezwzględnym i okrutnym, by młoda żona skazała na zupełną samotność, że odeszła pod pozorem letnich wyjazdów precz od męża, w cichej, ustronnej willi zamieszkała sama z małymi dziećmi, skazana na opuszczenie, narażona na obławę ludzką, młoda, pełna życia kobieta, porzucona w szarżynę życia, z kirem przymusowego, niewytłumaczonego wdowieństwa na jasnym czole.

Żyła więc w zacisznych ścianach willi podmiejskiej życiem zakonnem, smutnem. Służba, przesłuchiwana przez sędziego skrupulatnie, zeznała jednogłośnie, że pani Ira żadnych znajomych nie miała, nikt jej nie odwiedzał, wychodziła bardzo rzadko i to zawsze z dziećmi do parku, wracała wcześniej do domu, kładła się szybko do łóżka i spała rano bardzo do późna. Nie można było służbie wchodzić do pani aż na jej dzwonek, więc często do drugiej i trzeciej popołudniu leżała w łóżku, apatyczna jakaś i zmęczona tem życiem odludka-samotnika.

Gasta jakby i wypalała się wewnątrz w tej atmosferze osamotnienia, ona stworzona do rozkoszy i pełni życia, dla słońca jasnego zrodzona, a ginąca w głuchej ciszy konających zmierzchołów jesieni.

Dla Szeligi nie było wątpliwości, kto jest tu winowajcą. Sąd jego o sprawcy śmierci Iry umacniał się i utwierdzał coraz bardziej. Coraz mniej wątpliwości miał on w tym względzie:

— Dylemat śmierci Iry pozostawia do rozstrzygnięcia sprawę, czy jest to wyrafinowane, z premedytacją wykonane morderstwo na zmarłej, czy też jest to smutny akt samobójstwa, spełniony, jak przypuszczał któryś z lekarzy, w chwili nerwowego podniecenia, wywołanego przypiływem jakiejś moralnej, rozpaczliwej depresji.

Jeśli nawet Ira, w co Szeliga nie mógł uwierzyć, popełniła samobójstwo, moralnym winowajcą był tu bezwzględnie i jedynie mąż jej, Humaniecki. On pajęczą siecią otoczył wiotką, tak bardzo kobiecą kibić Iry, poczem stał się czynnikiem tego rodzinnego dramatu, w którym żona jego i matka dwóch ukochanych przez siebie chłopczków, dobrowolnie zdecydowała się odejść w krainę cieni, wypiwszy do dna kielich cykuty, ona nieszczęśliwa ofiara małżeńskich nieporozumień.

Moralnym sprawcą śmierci Iry był więc w tym wypadku bezwzględnie, Humaniecki.

A jeśli Ira stała się ofiarą dziwnej, tajemniczej zbrodni, tego ohydne morderstwa, popełnionego na bezbronnej kobiecie przez nieznanego mordercę, to z wyników dotychczasowego śledztwa wynikało, że dziwnie podejrzana jest tu rola męża. Znow ponury cień podejrzeń padał jako na bezpośredniego, czy pośredniego winowajcę, na Humanieckiego, iż sędzia śledczy wobec pewnych poszlak zdecydował się zawiesić nad nim areszt domowy, czyli otaczał czujną kontrolą każdy ruch i krok Humanieckiego, by uniemożliwić mu zatarcie śladów swego współudziału w zbrodni, lub przeszkodzić w możności porozumienia się z bezpośrednim sprawcą strasznego czynu, o ile Humaniecki był z nim w porozumieniu.

W świetle zatem tych konkluzji Szeliga dochodził do kategorycznego potępienia Humanieckiego, jako głównego współczynnika dramatu w domu Humanieckich.

Mając ze spokojnem, czystem sumieniem publicystycznym wydać wyrok opinii publicznej, reprezentowanej w jednym z najważniejszych organów miasta, odważył skrupulatnie wszystkie słabe strony rozumowania, utwierdził się w swych argumentach, oparł się na moralnej wiwisekcji psychiki obojga Humanieckich — i nie wahał się dłużej.

Siedział przy swem biurku i późno w noc pisał sprawozdanie ze strasznego dramatu, którego ukrytą akcję i splatanie węzła tragicznego znał już, zdało mu się, na wylot. Był jak teatralny krytyk, co w pierwszym rzędzie sie-